

Mister Torture

Na początku był chaos – i to chaos tak wielki, że przeciętny człowiek ledwie ogarniał go rozumem. Książki zalegały dosłownie wszędzie; na schodach, na blatach, na ziemi, ale przede wszystkim w kartonach, które wolontariusze dźwigali od samego rana. Wielu z nas zwolniło się ze szkół, by dopiąć przygotowania do festiwalu na ostatni guzik. Zresztą był siedemnasty czerwca, a kto w tym okresie nie oddaje się wagarom?

Stres przesycił atmosferę. Organizatorzy rwali włosy z głowy, by pierwsze tak duże wydarzenie książkowe w Opolu zakończyło się sukcesem. Przed biblioteką centralną ustawiono już scenę i wypoczynkowe leżaki, by zapewnić widzom dostateczny komfort. Co kilkanaście metrów znajdowały się punkty informacyjne wraz z ulotkami i przykładowymi lekturami. Tam jednak miałam znaleźć się dopiero następnego dnia – tego przypadł mi dyżur w filharmonii, gdzie powstały dziesiątki stoisk z przecenami. Po południu zaplanowano tutaj spotkania autorskie z osobistościami takimi jak Ćwiek czy Pilipiuk.

– Kornelio, przynieście więcej krzesel.

Wokół tłoczyło się tylu ludzi, że nawet nie zlokalizowałam źródła głosu. Zabrzmiał przez to prawie jak boski znak i chyba tylko to zmusiło mnie do pociągnięcia za rękaw innej wolontariuszki i przytaszczenia tego, o co nas proszono.

– Koszmarny upał! Całe szczęście, że dzisiaj jesteśmy w budynku, ale jutro prawdopodobnie zemrzemy z gorąca – narzekała, dysząc jak lokomotywa. Wizytówka, którą miała przy piersi, chwiała się, jakby nawet ona była zmęczona.

– Racja. Powinni zmienić nam napisy na koszulkach – zauważyłam.

– Niby na jakie? Nie podobają ci się? Dla mnie są całkiem w porządku.

Przyjrzałam się uważniej sloganowi na przedzie: KSIĄŻKI TU SIĘ CZYTA. Właściwie mała zmiana by wystarczyła.

– A co powiesz na „Pot tu się leje”?

– Coś mi mówi, że nikt nie musi o tym pisać, by ludzie łatwo to zauważyli. – Mrugnęła do mnie, a mimo tego zaśmiała się sympatycznie. Szczerze? Nawet nie znałam jej imienia.

Zdziwiło mnie, jak wiele osób zjawiało się na mieście, by zaznać kontaktu ze sztuką. To jedynie dowodziło, że ludzie nieustannie szukają takiej możliwości, ale niekoniecznie wiedzą, jak samodzielnie się do tego zabrać.

Książki rozchodziły się niczym ciepłe bułeczki, autografy zaproszonych gości podobnie. Co chwilę słyszeliśmy pikanie aparatów i echo roznoszące się z głośników. Czasem mogłam zerknąć przez balustradę na salę, w której odbywały się spotkania z pisarzami, a mimo tego było mi żal, że nie mogę podejść bliżej, kiedy tylko najdzie mnie ochota. Musiałam dbać o to, by inni dobrze się bawili i niczego im nie zabrakło. Wciąż udzielałam odpowiedzi na pytania, gdzie ma miejsce dane wydarzenie, mimo że plan zajęć wisiał w wielu ogólnodostępnych punktach.

Podczas krótkiej przerwy udało mi się znaleźć kilka przecen i mój uśmiech od razu stał się szerszy. Czekając, aż sprzedawca wręczy mi resztę, dostrzegłam w tłumie znajomą twarz, tyle że nie do końca umiałam powiązać ją z imieniem. Najwyraźniej jednak jej właściciel nie miał z tym problemu, bo pomachał mi bez skrępowania. Dopiero wtedy, gdy ujrzałam jego koszulkę z logo, uświadomiłam sobie, że powinnam raczej zapaść się pod ziemię.

Okazało się, że to Paweł, jeden ze współorganizatorów Literackiego Fenixa. Kiedyś nawet wysłałam na ten konkurs własną pracę – coś o kolorowych jaszczurkach i eliksirach, ale jaki miało cel, Bóg jeden wie. Na pewno uświadomiło mi, że sklecanie opowiadań to nie moje powołanie i więcej nie zgłaszałam własnego udziału, chociaż Opolskie Dni Fantastyki wspominam naprawdę pozytywnie; przynajmniej nauczyłam się z siebie śmiać.

Następnego popołudnia nie miałam zbyt wielu zajęć, ale upał doskwierał mi niemiłosiernie. Wypiłam z cztery litry lodowatej wody i wciąż było mi mało.

– O, tutaj można kupić książki! – zawołał ktoś, a ja jak zwykle musiałam go rozczarować.

– Nie, to tylko punkt informacyjny. – Uśmiechnęłam się do starszej babuleńki z wnuczką.

– Czyli nie można tu kupić książek?

– Niestety. – Wzruszyłam ramionami w geście bezradności.

– To po co tutaj są?

– Dla ozdoby – odparłam niepewnie po chwili namysłu. Właściwie wcześniej mnie to nie zastanawiało.

– Książki są do czytania, nie do ozdoby. – Starsza pani zmarszczyła brwi, najwyraźniej sądząc, że jestem niezbyt bystra.

Potem odeszła, a ja westchnęłam z ulgą. Spoglądając na wolontariuszkę, która tkwiła kilka metrów dalej w stroju niebieskiego jednorożca, zdałam sobie sprawę, że mimo wszystko nie trafiła mi się najgorsza robota. Przynajmniej nie gotowałam się w kostiumie, a dzieci nie przyczepiały się do moich nóg.

– Chcemy jednorożca! Chcemy jednorożca! JE-DNO-ROŻ-CA! – wrzeszczały, a ja udawałam, że nie słyszę. Próbowałam skupić się na występie Katarzyny Bondy, która opowiadała właśnie, jak porozumiała się z jakimiś dresiarzami w Gdańsku, by lepiej nakreślić fabułę swojej nowej powieści.

Odrobinę zazdrościłam tym, którzy przychodzili tutaj na godzinę czy dwie, by zobaczyć swojego idola, a potem zniknąć w Sopolku, Manekinie czy udać się na plac Róż. Już postanowiłam, że pierwszym, co zrobię, kiedy festiwal się skończy, będzie pójście na kąpielisko. Minęłam parę koleżanek, które chciały zabrać mnie ze sobą na Wyspę Bolko, a potem litościwie kiwały głowami. „Ach, jaka szkoda, że nie możesz...!”.

Moje plany legły jednak w gruzach dużo szybciej, niż zdążyły się spełnić. Jeszcze tego wieczoru rodzice poprosili mnie, bym zabrała młodszego, czteroletniego brata do cyrku i wesołego miasteczka, jakie rozstawili na Malince w tym samym miejscu, gdzie zawsze.

– Nie ma mowy, już się umówiłam.

– Kornelio, proszę. Bartek nie da nam spokoju, jeśli się nie zgodzisz. Obiecaliśmy, że z nim pójdziemy, w tym roku zjeżdża się profesjonalna grupa cyrkowa, ale okazało się, że jesteśmy zaproszeni jeszcze na stypę. Nie wypadało odmówić, sama rozumiesz. Kowalskim i bez naszych nieuprzejmości jest wystarczająco ciężko... – zaczęła mama.

– Ale... No...

– Kornelia jest brzydkim prosiakiem! – Bartek wystawił język i tupnął nogą, a ja zacisnęłam zęby. I właśnie za takie słowa miałam z nim pójść? – I boi się klaunów! Kornelia się boi, boi, boi!

– Wcale nie, już od dawna nie boję się przebierańców – ucięłam, ale ostatecznie i tak przegrałam tę walkę.

Tak naprawdę brat miał rację; wolałam smażyć się kilkanaście godzin w słońcu niż oglądać upiornie umalowane twarze. Ta awersja pojawiła się u mnie, odkąd tylko po raz pierwszy zobaczyłam człowieka w kostiumie, wciąż to pamiętam. Wielki – może wcale taki nie był, ale się wydawał – przebrany smok wawelski chwycił mnie za dłoń, chociaż bardzo tego nie chciałam, a następnie kazał iść za sobą, cały czas o czymś mówiąc. Na szczęście potem zachorowałam na ospę i jego też prawdopodobnie zaraziłam. Ma za swoje!

Po oficjalnym zamknięciu Festiwalu Książek spełniłam obietnicę daną bratu. Złapaliśmy linię autobusową numer dziesięć i wysiedliśmy naprzeciwko osiedla. Wesołe miasteczko, też mi coś. Wahadło, samochodziki i marna kolejka z wagonikami, które wyglądały, jakby zaraz miały wypaść z przerdzewiałej konstrukcji. W dodatku jednorazowe korzystanie z atrakcji kosztowało pięć złotych od osoby, co za zdzierstwo! Nigdy więcej nie dam się na to namówić, obiecałam sobie.

Gdy znaleźliśmy się bliżej, naszym oczom ukazała się ogromna, czerwona kopuła z migoczącymi latarenkami. Przynajmniej cyrk w tym roku rzeczywiście wyglądał na świetnie zaaranżowany. Wokół znajdowało się kilkanaście umalowanych na kolorowo półciężarówek z osiołkami, końmi i małpami w środku. Miałam nadzieję, że są dobrze traktowane; tyle słyszy się o filmach dokumentalnych, w których tresura odbywa się na zasadzie przemocy...

Na razie jednak wszystko było w porządku. Zero przebierańców na horyzoncie – brak czerwonych nosów, kwiatków psikających wodą czy rażących prądem sygnetów. W razie ich pojawienia chciałam wysunąć propozycję, byśmy poszli z Bartkiem na lody, a w tym czasie „przypadkowo” opuścili spektakl. Brat był jednak znacznie mądrzejszy, niż zawsze myślałam, i uparcie czekał na wielkie widowisko, do tego czasu jeżdżąc kolejką już chyba z dziesięć razy – co kosztowało mnie pięćdziesiąt złotych! – i zieleniejąc.

– Jeśli zwymiotujesz, wracamy do domu – ostrzegłam i naraz uśmiechnęłam się, wyciągając z kieszeni swoje ostatnie pieniądze. – Przejeżdż się jeszcze raz.

– Chcę do cyrku. Boisz się klaunów – wybełkotał. Głupi, głupi dzieciak.

W końcu zaciągnął mnie za krwistą kotarę i znaleźliśmy się w dusznej auli, gdzie z każdą minutą przybywało ludzi. Na szczęście nie musiałam wziąć Bartka na kolana, bo przed nim usiadła równie niska dziewczynka, która tylko od czasu do czasu chłostała go swoimi długimi warkoczami, gdy odwracała się do matki, by o coś zapytać. On jednak zupełnie na to nie zważał – rozwarł szeroko usta i najwyraźniej nie zamierzał zamknąć ich do końca występu.

Kiedy rozbłyły reflektory, na głównej scenie pojawił się niezwykle smukły i wysoki mężczyzna z cylindrem na głowie, który dodawał mu wzrostu. Zapowiedział pierwszych artystów, a w tym czasie po widowni rozeszli się klauni w kolorowych perukach. Zacisnęłam dłonie na kolanach, ale zdałam sobie sprawę z głupoty, jaką był mój strach, i w końcu dałam temu spokój. Skoro już tu jestem, postaram się dobrze bawić, pomyślałam.

Jak się okazało – problem szybko został zażegnany. Już kilka minut później zatonąłam w świetle akrobacji i czułam prawdopodobnie więcej adrenaliny niż sam mężczyzna, który poruszał się na monocyklu po cienkiej linie rozpiętej kilka metrów nad ziemią.

– A co jeśli ten pan spadnie? – To pytanie co chwilę padało gdzieś w tłumie. Niby wiedziałam, że takie przypadki zdarzają się raz na milion występów, a jednak... co by było, gdyby rzeczywiście spadł?

Ledwie zdążył się uklonić, a pod nim, na scenie, pojawili się jeźdźcy, którzy stali na koniach i skakali przez płonące obręcze. Wydawało się, jakby ogień muskał ich zwiewne koszule, a jednak jakimś cudem kaskaderzy zawsze zapobiegali katastrofie. Powoli zastanawiałam się, czy to rzeczywiście talent, czy zwykłe złudzenie optyczne.

Wraz z Bartkiem wciąż śmialiśmy się i klaskaliśmy, rozumiejąc się tak dobrze, jak chyba nigdy wcześniej. Objęłam go ramieniem, a on spojrzał na mnie zdziwiony.

– Wiesz, cieszę się, że jednak...

Nim jednak zdążyłam dokończyć, w całej sali zgasły światła, mimowolnie przyprawiając mnie o dreszcze. Równocześnie ucichła energiczna muzyka i wąpiłam, by to była przemyślana część występu. Na widowni rozległy się szepty tak liczne, że w końcu przemieniły się w niezrozumiały szum. Co się...?

– Przepraszamy państwa za utrudnienia. Wygląda na to, że mamy niewielkie problemy techniczne, ale zaraz wszystko wróci do normy. Proszę poczekać, za moment powrócą światła i będziemy kontynuować. Nie ma powodów do obaw. – Donośny głos dotarł do naszych uszu. Na szczęście ktoś wyjaśnił całe to zamieszanie.

Mimo tego opanował mnie dziwny chłód. Bartek pisnął, bo zbyt mocno zacisnęłam swoją dłoń na jego ramieniu. Najgorsze było to, że nie tylko on krzyczał. Wrzaski rozchodziły się po sali niczym fala – mnożyły się wraz z każdym kolejnym.

– Idziemy – zarządziłam, choć nawet nie wiedziałam, którędy powinniśmy udać się do wyjścia. Moje oczy wciąż nie przywykły do ciemności.

– Chcę jeszcze zobaczyć tygrysa! – zawył Bartek.

– Tygrysa nie będzie, kłamali. – Szarpnęłam za jego rękę i przeciskałam się między dziwnie zmartwiałyimi ciałami. – Jeszcze tylko chwilę...

Zdawało mi się, że w jednym miejscu dostrzegłam prześwity słońca z zewnątrz. Próbowałam ruszyć w tamtą stronę, ale kończyny odmawiały mi posłuszeństwa. Czułam, jak moje usta opadają i układają się w smutnym półksiężycu – zupełnie tak, jakby zbyt mocno znieczulił mnie dentysta. Ten sam bezwład szybko ogarnął resztę tułowia i runęłam na ziemię, puszczając dłoń brata.

Mikrofon. Dlaczego głos prowadzącego był tak głośny, skoro nie działał mikrofon? Gdy mówił, odezwały się głośniki, a to znaczy, że albo włączono zasilanie awaryjne, albo... albo... Albo co?

– Dalej, zabaw się z nami! Z nami zabawa nie ma końca! Zabaw się z nami, zabaw...

Czy ten głos dochodził z namiotu, czy tylko z mojej głowy? Co ja...? Ach, spać. Nie myśleć, spać.

* * *

Odzyskałam świadomość, ale nie byłam w stanie otworzyć oczu. Sklejała je jakaś gęsta maź, która swoją konsystencją przypominała gorący klej. Do moich nozdrzy docierał zapach stęchlizny, uryny i... spermy? Boże, gdzie ja się znalazłam? Ogarnął mnie przeraźliwy lęk i paradoksalnie to on stał się jedynym bodźcem motywującym do działania osłabiony organizm.

Próbowałam unieść dłonie do twarzy i zetrzeć z niej galaretowatą substancję, ale nie potrafiłam zmusić ich do ruchu. Właściwie nawet nie czułam, że mam nad nimi kontrolę – widocznie zdrętwiały. Prawdopodobnie nie dopływała do nich krew, a przynajmniej mogłam się tego domyślać, czując krępujący ucisk pasów na całym ciele. Ktoś przytroczył mnie do metalowego pala, być może w ostatnim momencie rezygnując z wbicia mnie na niego.

Łzy pozwoliły mi odzyskać wzrok, rozpuszczając choć w małym stopniu krępującą maź. Obraz wydawał się zamazany i przyciemniony, a mimo tego miałam wrażenie, że widzę czyjeś odbicie w lustrze, a raczej dziesiątkach krzywych lusterek rozmieszczonych wokół. Dopiero po upływie kilkunastu minut dotarło do mnie, że zniekształcony potwór, który zewsząd na mnie spogląda, to... ja sama.

– To tylko sen. To tylko sen, dlatego nie czuję bólu – próbowałam sobie wmówić, a mimo tego zaszlochałam ponownie. Co się ze mną stało?

Spojrzałam na swoje dłonie. Nic dziwnego, że nie mogłam nimi poruszać, skoro pozbawiono mnie jednej z nich. W jej miejscu widniał tylko kikut, który powoli zamieniał się w wielki strup. Wątpiłam, by oprawca pokwapił się, by go przemyć. Nie chciałam sobie nawet wyobrazić, co stanie się za kilka godzin, kiedy środki odurzające przestaną działać – bo że je dostałam, tego byłam całkowicie pewna.

Płakałam, analizując każdy skrawek (nie)swojego ciała. Zastanawiałam się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie mi dane chodzić, skoro w moim kolanie tkwił gruby, metalowy pręt. Prawa połowa ciała była nabrzmiąta, a spod skóry prześwitywały nienaturalnie rozszerzone żyły – całkiem jakby ktoś faszerował mnie sterydami przez bardzo długi czas. Na rozweselenie zostałam jednak obdarowana uśmiechem – krwistymi pociągnięciami noża wzdłuż ust, które upodabniały je do tych, jakie znajdowały się na umalowanych farbami twarzach klaunów.

– Nie, nie, nie. Nie mogę w to uwierzyć. To jakaś koszmarna pomyłka...

Nie umiałam uwolnić się od galopujących myśli. Co ze mną będzie? Czy przebywa tutaj ktoś jeszcze? Czy już zawsze będę wyglądać... tak? I, przede wszystkim, gdzie przebywa mój brat? Nigdy w życiu nie pomyślałabym, że zdejmie mnie strach o niego, ale teraz był moją ostatnią deską ratunku, dzięki której zebrałam siły i zaczęłam się szarpać. Bez skutku.

Pomyślałam o pręcie tkwiącym w mojej nodze. Jeśli nie tkwi zbyt głęboko, będę w stanie zachować nogę i być może użyć go jako noża. Wydawał się wystarczająco ostry, żeby przerwać pasy. Wstrzymałam więc oddech i poczułam, jak między wiązadłami tworzy się niewielki odstęp. Podejrzywałam, że jeśli tylko się skulę, będzie mi łatwiej przyciągnąć nogi do klatki piersiowej. Boże, jaka byłam naiwna! Zamiast tego skórzane rzemienie wsunęły się pod moją szyję, a ja zaczęłam się krztusić. Opuściłam głowę, a na ziemię, prócz kilku świeżych kropel krwi, wypadł ząb.

Równocześnie z moim charczeniem rozbrzmiewało ciche stukanie, jakby czyjeś kroki. Gdzieś szcęknął zamek, zatrzasnęły się drzwi, a już chwilę później znalazł się przy mnie muskularny mężczyzna, który natychmiast włączył latarkę i skierował promień światła wprost w moje oczy. Zaczęłam krzyczeć, bo tak silny bodziec wśród ciemności przyprawił mnie o niewyobrażalny ból i do reszty pozbawił orientacji.

Próbowałam się otrząsnąć, a w tym samym czasie pasy, które mnie przytrzymywały, po prostu ustąpiły. Widocznie rozpiął je ten człowiek, a ja beładnie padłam mu do stóp. Nie potrafiłam się podnieść, zmasakrowane części ciała powoli dawały znać o swojej obecności. Ciemno ubranemu mężczyźnie najwyraźniej nie robiło to różnicy, bo chwycił za kołnierz mojej bluzki i ciągnął mnie za sobą jak psa.

Zatrzymał się dopiero przed jedynym z luster, które ukazywały prawdziwe oblicze potwora, w jakiego się zmieniałam. Zabrali mi nawet oczy. Moje oczy. Ktoś inny ma moje oczy. Czym teraz byłam? Mutantem w obozie dziwolągów?

– Wstawaj, marna siedemnastko.

Oprawca kopnął mnie boleśnie w bok, a ja obróciłam się na brzuch i przez ramię ujrzałam wycięte na swoich plecach cyfry, które odbijały się w szkłe. Świadomość takiego napiętnowania wzbudziła we mnie poczucie złości, jakiej nigdy wcześniej nie byłabym w stanie z siebie wykrzesać.

– Gdzie jest mój brat?! Co zrobiliście z moim braciszkiem?! – Z trudem podniosłam się z kolan i rzuciłam się na wroga. – Wypuście mnie! Muszę znaleźć...

Powstrzymał mnie szybciej, niż sądziłam. Mimo nadnaturalnie rozbudowanej połowy ciała nie dałam mu rady. Skrępował moje ręce i chwycił za pręt tkwiący w kolanie.

– Jeśli nie przestaniesz, będę wkręcać go tak długo, aż nie przejdzie na wylot – szepnął, a ja w końcu się poddałam. Zbyt bałam się bólu. – Świetnie. W takim razie pozwól, że wprowadzę cię do twojego nowego domu. Wszyscy już czekają.

Wszyscy? Ale kim są ci wszyscy? Nie zapytałam, tylko dałam się ciągnąć. Co chwilę wstrząsał mną szloch, napuchła mi twarz i drżałam z zimna. To zbyt nierealne, żeby działo się naprawdę, myślałam.

Znajdowaliśmy się pod ziemią, tyle wiedziałam. Wędrowaliśmy przez wąskie, starannie wydrążone korytarze rozświetlone pojedynczymi lampkami, aż w końcu dotarliśmy do ogromnej sali zwieńczonej napisem MUZEUM KREATUR. Przynajmniej wciąż znajdowaliśmy się na terenie kraju, co stanowiło raczej małe pocieszenie, zważając na to, że nawet jeśli rodzice zgłosili nasze zaginięcie, to policja raczej nie zacznie szukać nas kilkanaście, o ile nie kilkadziesiąt metrów pod ziemią.

W środku mieściły się rzędy emanujących bladozielonym blaskiem kapsuł o owalnym kształcie. Każda z nich była powiązana z rurami, które wiły się po ścianach i suficie, tworząc spletaną sieć. W jajowatych zamknięciach znajdowali się ludzie – starsi, młodszy; to nie miało znaczenia. Prawie żaden z nich nie przypominał już człowieka. Niektórzy zamiast kończyn mieli długie macki z przyssawkami, twarze innych porastały gnijące łuski, a jeszcze innych pozbawiono większości narządów zmysłów.

Właśnie odmontowano jedną z klatek i wywożono ją poza pomieszczenie. Dziewczyna znajdująca się w środku krzyczała i uderzała o szybę, w dodatku spoglądała wprost na mnie, błagając o pomoc, a ja niczego nie mogłam dla niej zrobić, zwłaszcza że chwilę później sama znalazłam się w kapsule. Miałam wrażenie, że odchodzące od niej przewody odciągają ze mnie siły witalne, a przynajmniej ich resztki.

Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Wzrok wszystkich pracowników w czarnych umundurowaniach przyciągnął młody chłopak, który znajdował się w rzędzie naprzeciw mnie.

Wyglądał jak odmieniec z jeszcze ładnymi rysami twarzy i naturalną sylwetką. Zastanawiało mnie, dlaczego tu jest, skoro pod żadnym względem nie pasuje do reszty kreatur. Odpowiedź nadeszła jednak znacznie szybciej, niż podejrzewałam.

– Chodźcie, zaraz się zaczniesz!

– Jest już kamerzysta?

– Możemy wziąć się do dzieła?

Czerwona dioda kamery pulsowała regularnie, a oko urządzenia było skierowane wprost na ofiarę. Ze środka jej kapsuły wysunęły się dwie mechaniczne dłonie posługujące się imponującą liczbą narzędzi – zaczynając od igieł, na wiertłach kończąc. Zaczęły rozcinać plecy chłopaka, tylko po to, by później połączyć strzępki skóry niedokładnie założonymi szwami.

– Dobrze ci tak, gnido! – zawołał ktoś z tłumu, widząc nieudolną próbę walki młodzieńca.

Zemdliło mnie na tyle, że nawet mój pusty żołądek wydał mi się zbyt ciężkim balastem. Mimo wszystko wśród ogólnego gwaru i gwizdów dostrzegłam dla siebie szansę ucieczki. Spojrzałam na spód kapsuły, gdzie znajdowało się kilka zatrząsków. Część z nich była uszkodzona, tak jakby inni, którzy znajdowali się tu przede mną, wpadli na podobny pomysł, ale najwyraźniej nie zdążyli go zrealizować. Ze mną stanie się inaczej, przyrzekłam.

– No dalej, dasz radę – motywowałam się, w rzeczywistości drżąc jak osika na myśl o tym, jaki ból przejmie moje kolano, kiedy użyję pręta do zniszczenia zatrząsku.

Naprężyłam ciało i jednym ruchem wypchnęłam je mocno do przodu, osiagając cel. Po mojej nodze spłynęło kilka kropli krwi, po policzkach łez. Nie ma czasu się użalać, trzeba uciekać, trzeba iść. Tylko dokąd? Nieważne, nieważne. Tu i tak nic mnie nie trzyma, powtarzałam.

Powoli uniosłam do góry klapę i przemknęłam za plecami umundurowanych mężczyzn wprost do jakiegoś obcego korytarza. Przy wyjściu z sali natknęłam się na szklany, schłodzony pojemnik, na którego widok znów zadrżały mi nogi. W środku znajdowały się palce, kawałki nóg, ale także świńskie ogony czy kocie łapy. Najwyraźniej transformacja była specyficzną formą loterii – jedni mają więcej szczęścia, inni mniej.

Im dłużej szłam przed siebie, tym silniej bałam się o ukryte w ścianach kamery czy innych strażników, na których mogłam się natknąć. Z jednej strony szukałam wyjścia, z drugiej wiedziałam, że się do niego nie udam, póki nie odnajdę brata. Kierowałam się nie tylko instynktem, ale... głosami. Jeśli skądś usłyszałam krzyki, zawracałam i odnajdowałam inną ścieżkę, która mogłaby przywieść mnie do jakiegoś dziecięcego skrzydła.

Wtedy zobaczyłam tamte białe drzwi – jedyne takiego koloru i jasnej barwy wśród ogólnego mroku. Ta barwa kojarzyła mi się z... oczyszczeniem, ze sterylnością. Bez zastanowienia nacisnęłam klamkę, podejrzewając, że w środku znajdują się lekarstwa bądź

choć środki dezynfekcyjne czy uśmierzające ból. Nie przemyślałam ewentualnych zagrożeń, jakie mogły na mnie czyhać. Zresztą nawet gdybym to zrobiła, nie byłabym gotowa na to, co zastałam.

Przedemną znajdowało się kłębówisko maleńkich ciał, prawdopodobnie należących do dzieci czy niemowląt. Ich kończyny były skierowane w górę, zupełnie przecząc prawom grawitacji. Z drżącymi dłońmi, a raczej jedną dłonią, ruszyłam w ich kierunku. Oprawcy pozostawili z nich jedynie powłoki, wycinając z wnętrza to, co przydałoby się przy przeszczepach dorosłych.

Wszystkie dzieci miały pozszywane powieki. Odwróciłam jedno z nich na plecki i...

– Nie! Nie! Jak oni mogli ci to zrobić?! Wybacz, wybacz mi, że mnie przy tobie nie było. Błagam, wybacz mi. – Zaniósłam się płaczem, widząc tak dobrze znane mi rysy twarzy. Bartuś, mój brat, ja... Nie zdążyłam, jak mogłam tak zawieść?

Lamentowałam, tuląc ostatki jego ciała do swojej piersi. Poczułam, jakby ktoś nagle odebrał mi część życia, odebrał część mnie. Więc oczyszczenie oznaczało śmierć? Skoro tak, zamierzałam zbawić każdego, kto stanie na mojej drodze, bez wyjątku. Nie spocznę, póki tego nie dokonam – póki nie powywelekam ich języków, nie pokaleczę ciał i nie przebiję serc prętem tkwiącym w moim kolanie, obiecałam.

Z tą myślą wyszłam na pogrążony w półmroku korytarz. Usłyszałam cudze kroki, a chwilę później dostrzegłam jasne kółeczko, które przemieszczało się po ścianach; ktoś wymachiwał latarką i gwizdał, jakby spacerował nocą po parku. W każdym razie ta podróż będzie jego ostatnią, pomyślałam.

Skryłam się za rogiem, nasłuchując coraz głośniejszego nucenia muzyki z cyrkowego pokazu. Gdy mężczyzna mnie wyminął, zakradłam się za jego plecy i zdecydowanym ruchem wbiłam w nie łokcie, co na tyle wytrąciło wroga z równowagi, że runął na ziemię, a latarka potoczyła się kilka metrów od niego.

Zadziwiło mnie, z jaką siłą unieruchomiłam go swoim ciałem. Wyciągnęłam zza pasa wartownika nóż sprężynowy i przystawiłam go do szyi potwora.

– Miej litość, nie zabijaj mnie. Mam rodzinę! – krzyknął, wierząc się bezskutecznie.

Moje żyły na przytrzymującym go ramieniu nabrzmiały i pulsowały bezustannie. Cóż, może więc istniały pewne korzyści z bycia mutantem. Mnie jednak nikt nie pytał, czy mam rodzinę, i teraz mało mnie to obchodziło.

– Czy to spotyka każde porwane przez was dziecko? – Wskazałam na białe drzwi, a on skinął powoli głową, jakby zastanawiając się, czy kłamstwo nie będzie bezpieczniejsze.

– Niczego więcej ci nie powiem, jeśli się nie odsuniesz.

Nie posłuchałam, więc między nami rozpoczęła się szamotanina, podczas której mężczyzna obrócił się na plecy i usiłował wyrwać mi z ręki broń. Bezskutecznie. Być może

dla postronnych widzów wyglądałoby teraz jak para spleciona w namiętym uścisku, jednak prawda często jest daleka od rzeczywistości.

– Dlaczego to robicie? Jaki macie w tym cel? Po co i dla kogo nagrywacie te filmy? – Pytania wylewały się ze mnie ciągłym strumieniem, ale mężczyzna uparcie milczał.

– Pytasz złej osoby. Zmusili mnie do pracy w tym miejscu – stwierdził nieco spokojniej, zagotowując krew w moich żyłach.

– Ty pieprzony kłamco! – wrzasnęłam i rąbnęłam jego głową o podłogę z taką siłą, że stracił przytomność.

Rozerwałam jego koszulę i za pomocą noża złożyłam swój podpis na jego torsie, kończąc ostatni zawijas w jego sercu. Kiedy mężczyzna przestał się szarpać i ruszać, nagle wydał się kilkadziesiąt kilo cięższy. Chwyciłam za nogawki jego spodni i wciągnęłam go do pomieszczenia za białymi drzwiami, męcząc się przy tym niemiłosiernie.

Pora na oczyszczenie.

– Zabawimy się teraz w waszą grę, co ty na to? – zagadnęłam trupa, otwierając szuflady jedyne mebla w zasięgu wzroku. Nic, nic, nic... O, jest!

Znalazłam igłę i nici, klęknęłam przy twarzy strażnika i dotknęłam jego powieki. Nigdy nie szło mi zbyt dobrze zaszywanie dziur, skóry tym bardziej, ale przepełniało mnie jakieś dziwne podniecenie wręcz zmuszające, bym spróbowała i pomściła braciszka. Mimo że czułam obrzydzenie, rozumiałam, że coraz bardziej utożsamiam się z wyglądem potwora.

Gdy skończyłam swoje dzieło, nie słyszałam prawie niczego poza krwią szumiącą w uszach. Wokół zapadła cisza – żadnych krzyków, odgłosów walki, a jednak wciąż wydawało się, że towarzyszy mi dziwny, piskliwie-skrzypiący dźwięk.

Uchyliłam białe drzwi i rozejrzałam się na boki. Na samym końcu korytarza poruszył się jasny kształt. Dopiero kiedy przetałam oczy, rozumiałam, że majaczyło przede mną łóżko szpitalne ciągnięte przez dwóch strażników – ktoś, kto na nim leżał, był przysłonięty długą płachtą, tak jakby... wysłali go na tamten świat.

Odczekałam, aż mężczyźni znów pojawią się w przejściu i wrócą tam, skąd przyszli. Zjawili się obaj, więc bez zbędnych zahamowań ruszyłam do pomieszczenia, gdzie wywieźli zwłoki. Być może istniał tam jakiś zsyp bądź winda, którą można wydostać się na zewnątrz, na powierzchnię. Nie miałam pewności, ale też innego wyboru – w końcu jakoś musiałam to sprawdzić.

Przemierzając wydrążony korytarz, dostrzegłam tylko jedne drzwi. Pchnęłam je delikatnie, by ujrzeć, co widnieje za nimi i... w tym samym momencie odskoczyłam, jakby udając, że wcale mnie tam nie ma. Strażnik już mnie zauważył, doskonale zdawałam sobie z tego sprawę.

– Co tu robisz? – Podążył zaraz za mną i chwycił mnie za ramię; niespecjalnie mocno, ale stanowczo. – Nie powinno cię tu być.

– Przyszłam... przyszłam zobaczyć... – zaczęłam błędzić w ułożonej wcześniej logicznej wypowiedzi.

– Ach, jego... W porządku, tylko się pospiesz. Nikt nie może się dowiedzieć, że tu jesteś. W przeciwnym razie oboje nie wyjdziemy z tego cało. – Otworzył przede mną drzwi, a ja weszłam do środka. Nie chciałam, ale gdybym podjęła próbę ucieczki, nie pozostawiłabym sobie szansy.

Drżałam. Reakcja strażnika bynajmniej nie należała do powszechnie spotykanych u pracowników Muzeum Kreatur. Czy to możliwe, że przetrzymywano go tutaj siłą? Tylko w takim razie dlaczego nie stał się jednym z nas...?

Na szpitalnym łóżku znajdującym się kilka kroków ode mnie dostrzegłam postać odkrytą od ramion w górę. Część jej twarzy pokrywała zielona narośl, z której sączyły się płyny surowicze. Mimo że ciężko było mi dostrzec w niej skrawek człowieka, miałam wrażenie, że znam tego, kto właśnie na mnie spojrzał. Wydawało mi się, że jego tęczołki błysnęły zrozumieniem, a głowa powędrowała powoli z lewa na prawo, jakby poszkodowany chciał mnie ostrzec.

Ledwie widoczne powieki mężczyzny rozchyliły się nagle szeroko, a ja poczułam głęboki oddech na swoim karku. Automatycznie pchnęłam łokcie do tyłu, wbijając je w brzuch strażnika. Ten zgiął się w pół i już niemalże chwycił moje łydki, chcąc powalić mnie na ziemię, ale kopnąłam go na tyle silnie, że na chwilę stracił przytomność.

– Nie zabijaj go – przestrzegł mnie schrypnięty głos zmutowanego zakładnika, kiedy ponownie się zamachnęłam.

– Niby dlaczego? – rzuciłam hardo.

– Zaczną nas szybciej szukać, jeśli natrafią na taki... ślad – zakończył dyplomatycznie, a ja potaknęłam, choć w głębi duszy zdawałam sobie sprawę, że jeden trup w tę czy w tamtą nie ma żadnego znaczenia.

– Możesz wstać? – zwróciłam się do mężczyzny.

Uklękałam przy nim, a kiedy tylko to zrobiłam, po jego policzkach potoczyły się łzy. Zupełnie się tego nie spodziewałam, nie wiedziałam nawet, czy powiedziałam coś nieodpowiedniego, czy do tego potwora dopiero teraz dotarło, jaki jest nasz dalszy los.

Ujął moją twarz w dłonie, a ja tylko z grzeczności postanowiłam się nie odsuwać.

– Masz jej oczy. – Ach, więc o to chodziło. – Kiedy rozpruwali mnie na sali przed tymi wszystkimi kamerami, nie myślałem zbyt trzeźwo i sądziłem, że to niemożliwe, ale... ty naprawdę masz jej oczy.

– Kim dla ciebie była? – spytałam szeptem.

– Prawdopodobnie miłością życia.

Odsunął się ode mnie, patrząc w sufit, a raczej coś, co miało za niego uchodzić.

– Wiem, co czujesz. Zamordowali mojego brata.

– Nie, nie rozumiesz. To ja nalegałem, żebyśmy poszli do tego cyrku. Tak chciałem zrobić jej niespodziankę, a co dostała w zamian? Nie mam pojęcia, czy jeszcze żyje. Muszę ją znaleźć, muszę! – Uderzył zdeformowaną pięścią o łożko.

– Pomogę ci. Potem razem się stąd wydostaniemy – obiecałam, a on spojrzał na mnie z wdzięcznością. – Jak się nazywasz?

– To nie ma znaczenia, prawda? Możesz mówić mi Greg, jak zresztą wolisz. Musimy się zemścić. Masz jakiś plan? – zapytał bez ogródek.

Właściwie to długo nad nim myślałam. Długo, bo aż od momentu, kiedy uchyliłam powieki i ujrzałam się w odbiciu dziesiątek krzywych luster. Greg nie do końca zgadzał się ze mną co do pewnych kwestii, ale zajęło nam dosłownie chwilę, by dojść do konsensusu. Ostatecznie zdecydowaliśmy się na sztuczkę – niekoniecznie cyrkową, lecz na pewno zapierającą dech w piersiach; i to na dobre.

– Tylko do czego potrzebują filmów z operacji? – zastanowiłam się głośno, podając dłoń chłopakowi i pomagając mu stanąć na nogi po raz pierwszy od czasu, gdy go wywieźli.

– To ich maszynka do robienia pieniędzy, co niby innego?

– W jakim sensie?

Nie do końca potrafiłam go zrozumieć. Wydawało mi się, że mimo wszystko wie znacznie więcej ode mnie, zwłaszcza że spojrzał w moją stronę z pewną dozą ironii, jakby sugerując, że już dawno powinnam się domyślić.

– Kojarzysz Deep Web, prawda? – Uniosłam brwi, a on tylko pokręcił głową. – Nieważne. To taka strona, której użytkownik może przykładowo korzystać z filmów kręconych w czasie gwałtu bądź tortur, poznać pedofilię od podszewki lub posłuchać nagrań głosowych z udziałem ofiar. Jesteś w stanie znaleźć tam właściwie każdy rodzaj wypaczenia, jeśli się postarasz, a okaleczanie jest tylko jednym z nich. To, co nam robią, zrzesza spore grono widzów.

– Skąd o tym wiesz? I kto niby chciałby oglądać coś takiego? – fuknęłam, krzyżując ręce na piersiach.

– Podśluchałem strażników, to nie było specjalnie trudne. Kto ogląda? Zapewne psychopaci. Albo ludzie, którzy sami przeżyli coś podobnego i czują ulgę na myśl, że to nie dotyczy tylko ich. Nie wiem, przecież się na tym nie znam.

– I tak po prostu wszyscy mają do tego dostęp? – zapytałam głupio. No tak, to na pewno niespecjalnie legalne.

– Prawdopodobnie perspektywa niebezpieczeństwa tylko bardziej pociąga tych świrusów. Podejrzewam, że samo dotarcie do strony nie jest jednak specjalnie trudne. Dokonujesz wpłaty, może rejestracji i cały świat wypaczeń należy do ciebie – sarknął.

– Chyba jednak wolałabym o tym nie wiedzieć. – Potarłam ramiona, choć wcale nie było mi chłodno.

– Czyżby? Lepiej żebyś wiedziała. W końcu stałaś się częścią ich planu na życie, teoretycznie należymy do nich. Bawią się nami jak zepsutymi lalkami, które i tak nie mają już przyszłości. – Wreszcie odstąpił ode mnie i stanął o własnych siłach.

– Już niedługo – wysyczałam. – Co jeszcze wiesz?

– Nic specjalnego. Wciąż zastanawiam się, gdzie przebywa organizator tego przedsięwzięcia. Musi być gdzieś w pobliżu, bo na sali z kapsułami dużo się o nim mówiło. Nazywali go Mister Torture.

– Co za subtelność. – Uśmiechnęłam się pod nosem. – Dorwiemy go. Chodź, zrobiło się strasznie cicho. Podejrzewam, że mają teraz próby do nowego przedstawienia albo porę odpoczynku. Może się udać.

Błądziliśmy wśród wąskich korytarzy, nie mogąc znaleźć dojścia do głównej sali. Powoli zaczął ogarniać nas lęk. Nie wiedzieliśmy, ile pozostało czasu, zanim ktoś za nami wyruszy. Naprowadził nas dopiero dźwięk głuchego, nierytmicznego uderzania. Brzmiało tak, jakby ogromny owad obijał się o szybę, myśląc, że tym sposobem wydostanie się na wolność. To skojarzenie bardzo ułatwiło nam zadanie.

Ujrzeliśmy tablicę MUZEUM KRATUR i zatrzymaliśmy się w progu, gdzie przysłonił nas cień. Hala pogrążyła się w półmroku, co prawdopodobnie oznaczało nocną porę. W każdej kapsule znajdowały się istoty niepodobne do ludzi, a żadna z nich nie wyglądała na otępiałą, choć zmęczenie malowało się na każdej zmodyfikowanej twarzy. Wszyscy czuwali, ale w zupełnie odmienny sposób. Jedni rozglądali się wokół, inni wyklinali, a jeszcze inni siedzieli zrezygnowani jakby po długim ataku na szybę.

Wydawało nam się, że w pomieszczeniu znajduje się zaledwie dwójka strażników. Zapewne na tyle ufali zabezpieczeniom, że nie odczuwali stresu – w przeciwnym razie kreatury mogłyby rzucić się na nich i rozszarpać na strzępy. Dwie z nich nawet nie zamierzały się wahać.

Razem z Gregiem ustaliliśmy na migi sygnał, który rozpocznie nasz plan. Ja zostałam na miejscu, a chłopak udał się do drugiego wejścia znajdującego się po przeciwległej stronie, byśmy w miarę równocześnie rozprawili się z naszymi ofiarami.

W końcu wygrałam sprawę i pozostawiłam towarzyszowi słabszego przeciwnika, jako że nie doszedł jeszcze do siebie po tym, co tamte mechaniczne dłonie zrobiły z jego ciałem. Zadanie okazało się łatwe, nawet zbyt łatwe – obyło się bez zbędnych krzyków dzięki temu, że wykorzystaliśmy element zaskoczenia, natychmiast ogłuszając wrogów.

– Co robisz? – szepnęłam, widząc, że Greg klęka przy mężczyźnie i przeszukuje jego kieszenie. Część przedmiotów zabrał ze sobą, ostatni zaś, jakim był nóż, uniósł ponad ciało nieprzytomnego.

– Nie mogę zawieść publiki.

Wskazał na potwory, które ożywiły się na nasze wtargnięcie i niemo kibicowały, wymachując rękami oraz uśmiechając się; chciały rozlewu krwi. Ich obraz mimowolnie wyłowił z mojej głowy wspomnienie tłumnej operacji, miganie czerwonych diod kamer i ogólnego aplauzu, jaki to wydarzenie wzbudziło wśród strażników. Ale... nie, to niemądre. Robiliśmy tylko to, co musieliśmy.

– W porządku, ja otworzę kapsuły. – Odwróciłam się plecami do sceny mordu i zaczęłam kolejno wyłamywać zamki. To całkiem zabawne, bo prawie nie czułam już bólu, tak jakbym do niego przywykła.

Stwory w przeróżnym wieku dziękowały mi i kolejno rzucały się na strażnika, którego pozostawiłam, rozdzierając jego ciało czy wbijając w nie zęby. Całkiem jak zwierzęta. Rozmazały krew po całym podłożu, rzucając szczątkami wrogów. Może to i dobrze, dzięki temu nasze późniejsze działania wydawadzą się bardziej wiarygodne, pomyślałam. Sama jednak nie przyłożyłam do tego ręki, jakby nagle świadomość pobrudzenia jej nie była mi w smak.

Potwory pobudziły się do działania. Zaczęły syczeć, piszczeć i krzyczeć, chętne do odnalezienia tego, kto je skrzywdził. Z trudem powstrzymaliśmy grupę wraz z Gregiem, proponując, że przedstawimy plan, który może pomóc nam w wydostaniu się z tego miejsca.

Początkowo niewielu chciało nas słuchać, byli zbyt rozochoceni pierwszym atakiem, ale w końcu przyklasnęli naszemu pomysłowi i zastosowali się do zaleceń. Wrócili do swoich kapsuł i przykneśli je, wciąż mając możliwość wydostania się z nich, co miały uczynić na sygnał.

Ja usiadłam pośród zwłok z obłąkańczym uśmiechem na twarzy, czekając na strażników, którzy na mój widok zawiadomiliby swojego szefa i zachęciliby go do przyjścia na salę. Moim zadaniem było rzucenie się na sprawcę zamieszania, by Greg w tej samej chwili wychynął z bocznego wejścia i powstrzymał mnie, udając sprzymierzeńca cyrkowców. Dzięki temu uspilibyśmy czujność tamtego szaleńca, ale tylko pozornie – chwilę później w jego kierunku pomknęłyby inne kreatury.

Miałam pewne obiekcje co do momentu krępowania mnie przez Grega. W końcu po co miałby to robić i odbiegać zachowaniem od wszystkich, którzy tu przebywają? Zapewnił mnie jednak, że strażnicy bardzo chcieli przeprać mu mózg i wmawiali mu niestworzone rzeczy, byle tylko uwierzył, że tak naprawdę nigdy nie był człowiekiem. Cóż, brzmiało rozsądnie.

Czekałam więc, choć czas dłużył się niemiłosiernie. Minęły chyba ze dwie godziny, nim wreszcie ktoś z pracowników mnie dostrzegł. Facet już miał wezwać posiłki, lecz uniemożliwiłam mu to, wyciągając zza pleców pistolet, który przejęłam po jednym z martwych strażników.

Wymierzyłam nim w swoją marionetkę i kazałam podejść bliżej. Nie mogłam wiedzieć, że nie ma ze sobą dalekosiężnej broni – po prostu miałam szczęście albo przeraziłam go na tyle, że nie był w stanie niczego zrobić. Wyglądał zresztą na świeżego w tej robocie.

– Powiesz mi, gdzie jest Mister Torture? – zagadnęłam. – No chyba że chcesz skończyć jak twoi kumple.

– Mogę go tu przyprowadzić – zająknął się.

– Nie, nie... Nie możesz stąd wyjść. Na pewno jesteś w stanie skontaktować się z nim w inny sposób.

I rzeczywiście; drżącą dłonią wyjął niewielki mikrofonik, zaraz potem go włączając.

– Szefie, mamy mały problem w muzeum.

– To nie twój teren patrolu – zauważył nieprzyjemny głos po drugiej stronie. – Przecież wiesz, że nie pojawia się w tej sali.

– Właśnie o to chodzi. To poważna sprawa.

Po drugiej stronie rozległo się głębokie westchnienie. Najwyraźniej Mister Torture zdecydował się na opuszczenie gabinetu.

– Dziękuję za pomoc. – Uśmiechnęłam się i strzeliłam strażnikowi między oczy, tonąc w jego krwi. Nie miałam wyboru.

Kiedy głowa cyrku zjawiła się w progu, poczułam dezorientację. Nie tak wyobrażałam sobie wielkiego bossa – ze szwami na łysej głowie, sztucznym okiem i na wózku. Z drugiej strony... należało uważać. Być może stanowił podły odpowiednik Profesora X, a z mocami nadprzyrodzonymi nie dalibyśmy sobie rady.

– Mówiłem, żeby przeszczepić ci pletwy zamiast nóg, wtedy byś nie uciekła, siedemnastko. Ciekawe widowisko – rzekł z rozbawieniem, jakby wszystkiego się spodziewał. Nawet nie zmartwił się ubytkiem w personelu. – Twój brat też był dla nas nie lada kłopotem.

– Zamknij się, przebrzydły morderco! Jak możesz robić to wszystko?! Jakie masz z tego korzyści?! Mógłbyś ułożyć sobie życie, a ty...! – Wiedział, jak mnie rozwścieczyć. To był jego as w rękawie.

– Ułożyć sobie życie? Niewątpliwie – wysyczał, rozrywając materiał swojego ubrania, pod którym krył się metalowy szkielet budujący ciało mężczyzny. – Być może, gdyby nie tamten pedał, który zasłabł za kierownicą i wyleciał z drogi. Zmiażdżyło mnie i to cud, że przeżyłem. Szkoda, że lekarze mnie nie dobili, bo teraz muszę użerać się z ludźmi. Niech cierpią za to, że wytykali mnie palcami.

– Jesteś chory, po prostu chory! – wrzasnęłam i rzuciłam się w jego kierunku.

Muszę pomóc brata, pomyślałam. Poczułam w sobie jeszcze więcej gniewu, kiedy zatrzymał mnie Greg. Wiedziałam, że to część planu, ale widząc tamtego psychopatę, miałam ochotę sama z nim skończyć.

Chłopak potraktował mnie paralizatorem, który właściwie nie wiadomo skąd pojawił się w jego dłoniach, na moment zupełnie mnie unieruchamiając. Może to dobrze, w przeciwnym razie byłabym czynnikiem, który zaprzepściłby nasze postanowienia.

– Nie będzie więcej sprawiać kłopotu – obwieścił. Jeszcze chwila i powinien dać znak, jeszcze...

– Wspaniale, Sebastianie. Zaprowadź ją tam, gdzie się umawialiśmy. – Mister Torture uśmiechnął się szeroko.

„Tak jak się umawialiśmy”? Co to ma znaczyć? Nasz plan... ja... Dlaczego Greg to zrobił? Nie mogłam w to uwierzyć, przecież wydawał się tak uczciwy i...

– Ty pieprzony kłamco... – Ledwie mogłam zapanować nad mięśniami, więc słowa wydobywające się z moich ust brzmiały raczej jak niewyraźny bełkot, ale jestem pewna, że zrozumiał. Tak bardzo chciałam wyrwać się i udusić go gołymi rękami, ale nie potrafiłam.

Reszta kreatur nie mogła mi pomóc. Szkło zagłuszało wszelkie dźwięki, więc wciąż czekały na znak, uważając, że wszystko wygląda tak, jak powinno. Czy można polec w bardziej upokarzający sposób?

– Będę z nią czekać w swoim gabinecie. Przy okazji pokażę ci nagranie. – Mister Torture już zmienił kierunek i zamierzał się wycofać, kiedy nagle Greg stanął w pół kroku i odwrócił się do niego.

– Nagrałeś ją? – warknął, a oprawca wciąż subtelnie się uśmiechał. – Obiecałeś! Obiecałeś, że nie tkniesz jej palcem, jeśli zrobię to, co mi każesz!

Puścił mnie bez wahania, a ja runęłam na ziemię, będąc wciąż niezdolna do ruchu. Zdażyłam jednak dostrzec, że wykonał specyficzny ruch ręką, a potwory za szkłem z radością ruszyły na żer. Zanim jednak dopadły swego oprawcę, ten zdażył zawiadomić strażników. Niedobrze, zaraz rozpęta się piekło, pomyślałam.

Z trudem zaczęłam czołgać się do wyjścia, nie licząc na cud. Kilka sekund później ktoś jednak poderwał mnie z miejsca i ciągnął za sobą tak długo, aż dotarł do ślepego zaułka i ostukał ziemię w dziwny sposób. Przed nami rozwarło się ukryte przejście prowadzące do, jak się później okazało, gabinetu szefa.

– Tu nas nie znajdą – szepnął Greg. – Przepraszam cię. Wybacz mi to wszystko, proszę. Chciałem tylko ją chronić...

– W porządku. – Nawet mnie zdziwiły te słowa. – Pewnie gdyby mój brat żył, też zrobiłabym podobne świństwo.

– Obiecał nam wyjście na wolność – mówił, jakby w ogóle mnie nie słuchał. – Chciałem ją uratować.

– Więc weź się w garść i poszukajmy jej, a nie traćmy czas na paplaninie.

Moja mowa powoli wracała do normy. Greg podziękował mi i pomógł wstać, wprowadzając w głąb gabinetu. Wyciągnął dziwną kartę identyfikacyjną i wyjaśnił, że zdążył ją zabrać, zanim reszta potworów rozszarpała głowę cyrku.

– Dzięki niej możemy dostać się do komputera i pewnie nie tylko.

– Więc spróbujmy. Myślisz, że tamci ludzie poradzą sobie ze strażnikami? – Wiedziałam, że mogą być ich dziesiątki i miałam pewne wątpliwości.

– Nawet jeśli nie, to dla nich pewnie najlepszy sposób, by pożegnać się ze światem. Wyobrażasz sobie reakcję ludzi na powierzchni na nasz widok?

Nie zastanawiałam się nad tym wcześniej, ale być może miał trochę racji. Szybko jednak przestałam nad tym rozmyślać i próbowałam rozejrzeć się po pomieszczeniu, by znaleźć coś, co mogłoby nam pomóc. Wciąż zastanawiała mnie winda tkwiąca w rogu pokoju. Czy to tylko pomoc w przemieszczaniu się dla alter ego Profesora X, czy może sposób na ucieczkę...? Przecież kiedyś pracownicy cyrku musieli wychodzić na powierzchnię – wracać do domów lub chociażby kupić kilka gorszych produktów, byśmy mieli co jeść. O środki higieniczne zbytnio się nie martwili, co dali nam odczuć już od pierwszych chwil przebudzenia. W każdym razie, jeśli miałam rację, to wyjaśniałoby brak kamer – no bo po co martwić się o kontrolę kogoś, kto nigdy nie odnajdzie drogi do wyjścia?

– Znalazłem.

Greg otworzył plik podpisany prawdopodobnie danymi jego partnerki. Chciałam go powstrzymać i powiedzieć, żeby dał temu spokój, ale i tak prawdopodobnie by mnie nie posłuchał. To było dla niego zbyt ważne, a tym samym znacznie boleśniejsze niż dla osoby niezwiązanej z ofiarą na ekranie.

Odwrocił wzrok już po kilku sekundach, kiedy nieprzytomnej dziewczynie nacinano skórę. Mister Turture obecny w rogu kadru zdawał się wręcz napawać tym widokiem, napawał się cudzą krzywdą i cierpieniem. Mimo najszczerszych chęci wątpiłam, by zatrzymał dziewczynę przy życiu. Najwyraźniej zabawił się kosztem tej pary, ale nie zamierzałam głośno tego przyznawać. Chłopak i tak sprawiał wrażenie zgnębiętego.

– Zawiodłem ją. Jak mogłem ją tak zawieść...?

Skrył twarz w dłoniach, a jego głos wiązał w gardle. Rozumiałam, jak się czuł. Dokładnie to samo nękało mnie, gdy wzięłam w ramiona puste ciało brata. Musiałam jednak zwalczyć to wspomnienie, stać się ostoją dla kogoś, kto potrzebuje tego bardziej.

– Nie mogłeś wiedzieć. – Ułożyłam dłoń na ramieniu chłopaka, a on ponownie zaczął lamentować. Natychmiast jednak przytknęłam palec do jego ust. – Cicho. Co to za dźwięk?

– Niby jaki?

– Szloch.

Ledwie usłyszałam go przez szum komputera i panelu kontrolnego, który znajdował się za naszymi plecami, a mimo tego byłam pewna, że zmysły mnie nie mylą. Nieznany ton dochodził jakby... z wąskiej szafeczki?

Greg podszedł do niej, przykładając kartę do czujnika, a drzwiczki odskoczyły opornie. Uchylił je szerzej i wetknął głowę do środka, równocześnie sprawiając, że w powietrzu rozniósł się pisk tak donośny, że zatkałam uszy.

– Hej, spokojnie. To ja. To ja, Sebastian.

Krzyk ustał. Z szafki wychynęła posiniaczona, opuchnięta głowa z krwistymi liniami w miejscach wygolonych włosów. To właśnie jej oczy miałam teraz. I to właśnie ona miała moje, tyle że zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Nawet nie zauważyła mojej obecności. Wreszcie znalazła się w objęciach kogoś, na kogo tak długo czekała – tylko to się dla niej liczyło.

– Wiedziałam, że po mnie przyjdiesz – stwierdziła, jakby już nie zauważając wyglądu Grega, na widok którego zareagowała z takim przerażeniem. Oboje prawdopodobnie widzieli dawnych siebie i wreszcie odnaleźli stabilizację.

Co w takim razie ze mną? Czułam się nieco jak szpieg, więc zamierzałam wrócić na pole walki i zakończyć to, co zaczęłam. Już odzyskałam siły, ale mimo wszystko miałam pewne wątpliwości. Żałowałam, że nie znam obecnego stanu sytuacji. Co jeśli żadne z nas nie przeżyje? Kto wtedy zawiadomi o tym miejscu ludzi na powierzchni ziemi? Tak bardzo chciałam ujrzeć na własne oczy klęskę cyrku, a z drugiej... może moją zemstą było wyciągnięcie prawdy na światło dzienne, by nikomu innemu nie stała się krzywda? Chyba inni uwierzą, kiedy ujrzą moją twarz, prawda?

Przecież jeszcze miałam w sobie empatię, miałam uczucia; podobnie jak tamte dwa potwory zachowujące się względem siebie tak ludzko. Czy powinnam stłumić poczucie winy i walczyć, czy odejść? A może na powierzchni nikt nas już nie szuka? Jak miałabym żyć ze swoim wyglądem wśród tłumu zwyczajnych? Co zresztą powiem rodzicom? Co mam zrobić z Bartusiem...?

Zbliżyłam się do ukrytego przejścia. Chyba nie ma innego wyjścia, pomyślałam, a mimo tego jeszcze raz rzuciłam okiem na windę po drugiej stronie pomieszczenia. Wlepiłam w nią wzrok na dłużej, niż sądziłam.

Przecież nie jestem potworem, prawda? Nie jestem...